Horace B. Fyfe

Cena granicy

(Fee of the Frontier)

Amazing Stories, August 1960
Ilustracje: Emsh
Tłumaczenie: Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Nie myśleli o sobie jako o pionierach. Po prostu mieli robotę do wykonania. A jeżeli musieli przy tym rezygnować z pieniędzy, władzy, miłości… albo nawet życia — to była po prostu…

Z wnętrza kopuły nocne niebo było niesamowicie piękne, nawet jeśli Deimos i Phobos nie były czymś, czym warto by się było chwalić. Jeżeli wyjdziesz się poza nią, choćby nawet tuż poza lądowisko rakiet, od razu zobaczysz różnicę.

Poza wąskim, zagospodarowanym pasem, wokół kopuły rozciągały się tereny pustynne, równie zimne i najeżone skałami, jak przez całe eony przed przybyciem Ziemian na Marsa. Niebo nagle robi się surowe i okrutne. Podciągasz założone na siebie futra aż po sam czubek nosa, sprawdzasz swoją maskę tlenową i marzysz o tym, żeby znaleźć się *wewnątrz* czegoś, nawet jeżeli jest to tylko cienka ściana z przezroczystego plastiku.

A jednak, lubię tutaj stać, wyglądając przez nią na zewnątrz, myśląc sobie o tym, jak daleko w dzisiejszych czasach statki zapuszczają się w ciemność kosmosu, i o ludziach którzy wyruszyli tam, mając tak niewiele ciągu rakietowego, a tak ogromne serca. Znałem ich całe mnóstwo… część z nich nadal tam jest, jak myślę.



Były kiedyś czasy, gdy niemal wszystko musiało być transportowane rakietami z Ziemi, zanim jeszcze przygotowano te cudowne chemiczne sztuczki, które zmieniły marsjańskie zboża w prawdziwą żywność. Kopuły nie były wtedy ekstrawagancką fantasmagorią. Odpowiednie, oczywiście. Nie było sensu ryzykować życia ludzi, których transport w to miejsce, kosztował takie ilości paliwa. I kolonie ciągle się rozrastały. Kiedy gdzieś już znajdą się ludzie, inni podążają ich śladem, aby z nich żyć, w ten czy w inny sposób. Zaczynało wyglądać, że nadszedł czas na następny krok w kosmos.

Och, asteroidy… pewnie. Nie one. W swoim czasie trochę zajmowałem się skakaniem po nich. Prawdę mówiąc –– z powodu okoliczności pozostających poza moim wyborem i kontrolą –– spędziłem aż za wiele czasu poza ochroną kadłubów statków. Pewnego pięknego dnia, medycy powiedzieli mi, że przez resztę mojego życia, będę musiał już pozostać Marsjaninem. Nawet przeskok w jedną stronę, z powrotem na Ziemię „nie był zalecany”.

Tak więc tylko przyglądałem się, odlatującym statkom. Ciągle pamiętam, jak kiedyś niemal przegapiłem start *Kupca Marsjańskiego*. Nie mam pojęcia, jaki żartowniś wymyślił sobie, że to może być dobra nazwa dla statku eksploracyjnego –– ale tak to już bywa.

Uruchomiłem wtedy akurat, moją przełajową linię traktorową i właśnie zrobiłem trasę ze Schiaparellego do kopuły Asaph, która w tamtych czasach nie była takim miłym miejscem jak dzisiaj, ale pomimo wszystko był to jednak ośrodek cywilizacji. Mieli tam osiem, czy dziesięć barów, tawern i innych przybytków rozrywki, i już zdążyło wyrosnąć tam całkiem niezłe miasto.

Jedna z tawern, położona w pobliżu zachodniej śluzy, nazywała się *Stardust*, a ja właśnie zbliżałem się do niej, badając ilość piasku w moim gardle, kiedy ze środka wyszli ci marynarze. Jeden z niech, był potężnym, ciemnowłosym facetem. Wytoczył się przez drzwi, niosąc pod każdą pachą jakiegoś człowieka.

Właśnie kiedy tam dotarłem, jakoś udało mu się postawić ich na nogi, i trzasnął ich o siebie głowami, akurat na tyle mocno, by zaprowadzić spokój. Zachowywał się jak człowiek, przyzwyczajony do precyzyjnego załatwiania spraw. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, ze swojej kwadratowej, poważnej twarzy, a następnie zanurkował z powrotem przez rozbite drzwi, do znajdującej się w środku spelunki.

Po chwili, wyszedł ponownie, z dwoma przyjaciółmi, którzy wyglądali na dużo bardziej zużytych. Wysoki, szczupły młodzieniec, nosił na rękawach niebieskiego uniformu, paski młodszego pilota. Jego skołtunione włosy, były tak rozczochrane, jakby ktoś wczepił się w nie, jednocześnie próbując podbić mu oko.

Drugi z nich był niższy, i wyglądał znacznie schludniej. Nawet pomimo tego, że tunika, którą miał na sobie była rozdarta z przodu, roztaczał wokół siebie wrażenie, ze jego życiowym celem było zachowanie elegancji.

Zaczynał już lekko siwieć na skroniach, i przybywać w pasie, co nadawało mu szacownej godności, pasującej do starannie wyrównanych wąsów i wyrazu twarzy pełnego atencji i grzeczności. Zatrzymał się na chwilę, by rzucić pustą butelką w czyjąś głowę.

– Lepiej idźcie tą aleją – zupełnie odruchowo powiedziałem do tego potężnego. – Zabiorę was traktorem i podrzucę na wasz statek.

Nie tracił czasu na niepotrzebne pytania, tylko złapał swoich przyjaciół i zniknęli, zanim na dwór wysypał się cały tłum ludzi. Obszedłem kilka narożników i zawróciłem do mojego traktorowego busa. Pobliski kawałek terenu, był akurat jedynym pustym miejscem w Śluzie Powietrznej Numer Cztery. W tych czasach, z innych kopalni lub kopuł, przyjeżdżały każdego dnia zaledwie dwa lub trzy traktory. Większość ruchu kierowała się do i z portu kosmicznego.

– Kto tam? – spytał niski głos z cienia.

– Tony Lewis – odparłem.

Cała trójka wyszła na przyćmione światło, dobiegające z posterunku straży w śluzie.

– Dzięki za pokierowanie – powiedział ten potężny, – ale możemy tu zostać aż do rana.

Wydawał się tak świeży, jakby przed chwilą wylądował. Jego przyjaciele byli lekko zużyci w paru miejscach.

– Graj dalej tak twardo – powiedziałem, – to możesz wcale nie doczekać do rana.

Tylko uśmiechnął się lekko.

– Musimy – powiedział, – w przeciwnym razie statek nie wystartuje.

– Och tak? Dzięki waszej trójce ten statek w ogóle działa, co?

– Coś koło tego. To jest Hugh Konnel, trzeci pilot. Gentelman roztaczający aurę dostojeństwa, to Ron Meadows, steward. Ja nazywam się Jim Howlet i zajmuję się systemem paliwowym.

Przyznałem, że statek z trudem mógłby się bez nich obyć. Wyraz twarzy Howleta, wskazywał że przeszukuje swoją pamięć.

– Lewis… – wymamrotał. – Gdzieś słyszałem o Tonym Lewisie. Latałeś w kosmosie?

– Kiedyś bywało – odparłem. – Trochę pilotowałem w Pasie.

Młody Konnel przestał obmacywać sobie oko.

– Och, tak. Słyszałem o tobie – powiedział. – Nawet czytałem parę twoich sprawozdań.

Po tym wszystkim, krok po kroku, rzeczy rozwinęły się tak, że w wyniku całego tego zamieszania, zaproponowałem im znalezienie jakiegoś innego miejsca gdzie mogliby się zrelaksować. Powędrowaliśmy w kierunku południowym od śluzy, mijając bezładnie poustawiane grupy budynków. W tych czasach nie planowano specjalnie szczegółowo zabudowy pod kopułami. Wszystko co było niezbędne dla zachowania bezpieczeństwa, oraz dla utrzymania gęstszego i cieplejszego powietrza

niż na zewnątrz, zrobione było we właściwy sposób, pozostała wolna przestrzeń chwytana była jak leci przez pierwszego kto się pojawił.

Ulice z reguły były dosyć wąskie. Dopóki ciężarówki służb alarmowych mogły się nimi przecisnąć, jadąc z rozsądną prędkością, to wystarczało. Im bliżej centrum kopuły, budynki rozbiły się coraz wyższe, ale zatrzymałem się w miejscu, gdzie nadal miały tylko dwa piętra.

Lokal Jorgensena od zewnątrz wyglądał podobnie jak każda inna kiepska budowla pod kopułą. Minęliśmy właśnie rząd małych magazynów i jedyną różnicą wydawał się być podświetlony szyld na froncie budynku.

– Możemy zatrzymać się tam w środku, w barze, a w międzyczasie zamówimy kolację – zaproponowałem.

– Brzmi nieźle – stwierdził Howlet. – Możemy wejść na jakiś przyzwoity posiłek. Racje na statku eksploracyjnym dostarczają więcej kalorii niż wrażeń smakowych.

Pilot wymamrotał coś za naszymi plecami. Howlet odwrócił głowę w jego stronę.

– Nie przejmuj się tym, Hughie – odciął się mu. – Do jutra i tak to będzie już huczeć po całej kopule.

– Ale przecież mówili nam, żeby nie…

– Pan Lewis nikomu nie powie, ale on nie jest jedynym specjalistą w sprawach kosmosu, który się tego domyśla.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Wtedy statki eksploracyjne nie miały już zbyt wiele roboty w Pasie –– mnóstwo nietkniętych nogą ludzką skał, ale nic co by było naprawdę nieznane. „Eksploracja” mogło oznaczać tylko jedno: że w końcu przygotowywany był skok co najmniej do Jowisza. Już wcześniej chodziły pogłoski, o kilku szerokich zakosach na zewnątrz Pasa.

No cóż, był już na to najwyższy czas.

Sam bym chętnie poleciał, i było to coś więcej, niż tylko ciekawość człowieka związanego z kosmosem. Według mnie, człowiek musiał posuwać się coraz dalej w kosmos. Pozostawanie jedynie na wpół drogi w kontrolowaniu swojego własnego systemu planetarnego, nie było stanem jaki powinni zastać pierwsi międzygwiezdni goście.

Takie spotkanie musi się wydarzyć, wcześniej czy później. Wydaje mi się, że lepiej będzie jeżeli rasa ludzka będzie w stanie odpowiednio przyjąć odwiedzających.

Wnętrze lokalu Jorgensena zawsze zaskakiwało nowych gości w Kopule Asaph. Było zupełnie odmienne od czegokolwiek na Ziemi, ale także nie za bardzo przypominało prawdziwego Marsa. Dzięki temu, Jorgensen miał nadzieję przyciągnąć zarówno piaskowych wyjadaczy, jak i turystów. Ci ostatni przychodzili tu, by pooddychać lokalnym kolorytem, a ci pierwsi aby pomarzyć o lepszym świecie.

– Hej! Popatrzcie tylko na gwiazdy nad barem! – wykrzyknął Howlet.

Aby od czegoś zacząć, bar był z różowawego piaskowca, wypolerowanego i pokrytego warstwą plastiku. Za nim, zamiast mało

oryginalnych luster, albo rzędów butelek, Jorgensen powiesił namalowany przez jakiegoś łazika, olbrzymi obraz nocy na pustyni. Wszędzie pełno było na nim ciemnoróżowych i brązowych skał, przysypanych częściowo piaskiem, pod czarnym niebem. Gwiazdy migotały jak szklane paciorki, z których zresztą je zrobiono. Światła w barze były przyciemnione, aby ukryć typową dla Marsa toporność metalowych mebli.

– Turyści z Ziemi spędzają tutaj wiele czasu – powiedziałem trójce towarzyszy. – Zdaje się, że wolą raczej patrzeć na to niebo, a nie na prawdziwe, poza kopułą.

Sala restauracyjna odpowiadała bardziej gustom miejscowych, którzy mogli podziwiać pustynię w sposób bardziej konwencjonalny, a tutaj szukali dobrego jedzenia. Utrzymana była ona przede wszystkim w kolorach zielonych i białych, przy czym sporą część bieli dawały kryształy. W kątach stały sztuczne sosny, które Jorgensen co miesiąc musiał przemalowywać, ale piaskowych wyjadaczy najbardziej przyciągała, mała fontanna pośrodku pomieszczenia.

Prawdziwa woda!

Oczywiście to był ten sam galon, czy dwa wody, pompowanej w kółko, ale naprawdę, widok płynącej wody, na Marsie, to jest naprawdę coś. Kiedy błotniste strużki w kanałach, zaczynały cię już kusić, aby w nich zanurkować i popływać, wstępowało się do Jorgensena, gdzie można było popatrzeć na fontannę, podczas kiedy bezszelestni, potężni kelnerzy, w bardzo sprawny sposób serwowali ci kolację.

– **T**rzeba przyznać, że to jest o klasę lub dwie wyżej od statkowego żarcia – przyznał Konnel, kiedy przyniesiono jedzenie. – A to, co? Mają też muzykę?

– Mają tutaj takie trio, które od czasu do czasu gra – wyjaśniłem mu. – Czasami nawet ktoś śpiewa, jeżeli nie za wiele dzieje się w sali na tyłach.

– Na tyłach? – Howlet podchwycił te słowa.

– Daj sobie spokój. Co byś teraz zrobił z milionem? Zakładając przede wszystkim, że wygrałbyś z kołem, albo w jakąś inną grę.

– Czy oni grają… eee… na prawdziwe pieniądze? – spytał Meadows, unosząc brew.

– Tak prawdziwe, jak tylko chcesz – zapewniłem go. – Pieniądze zbierają się w takich miejscach. Myślę, że wielu wyjadaczy piaskowych ma nadzieję, że mogliby podłapać przejazd na Ziemię, pierwszą klasą.

– I co, wracają? – spytał Konnel, przeżuwając swój stek.

Kiedy to mówił, trio smyczkowe, które przedtem głośno stroiło instrumenty, przeszło do spokojnej piosenki. Słuchaliśmy jej, podczas gdy pytanie zawisło w powietrzu, i zdecydowałem, że zabawne uczucie pod moim pasem, było tęsknotą za domem, co wydawało się tym dziwniejsze, że miałem trzy domy, położone w niezbyt dużej odległości od marsjańskiego równika.

– O ile wiem – odpowiedziałem, – szczęście wydaje się podążać za tymi, którzy i tak nie mogą wracać, z tego czy innego powodu. Ci, którzy tylko czekają na szczęśliwą noc, w nadziei że pozwoli im ona powrócić do domu z majątkiem… nadal czekają.

Drzwi do pomieszczenia na tyłach otworzyły się, przepuszczając mieszaninę rozmów i cichych mechanicznych odgłosów. Przepuściły także uderzająco niedopasowaną parę.

Dziewczyna miała ciemne włosy i była zgrabna, chociaż niezbyt wysoka. Miała na sobie lawendową suknię, która, kiedy dziewczyna odwróciła się, aby przejść koło muzyków, pokazała sporą część jej pleców. To co jeszcze zakrywała suknia, odkrywał jej chód. Mężczyzna był na tyle gruby, że zanim nie podszedł bliżej, wydawało się, że jest niski. Jego twarz i kopuła łysiny, zaczerwienione były od słońca pustyni, a brwi niemal niewidoczne. Jorgensen.

Kiwając od niechcenia głową w stronę różnych gości, zauważył przy naszym stole nowe twarze. Zbliżył się lekko, pomimo swojej tuszy, i ewidentne już było, że daleko mu do niezgrabnej mazgajowatości. Brzuch mu wyraźnie sterczał, ale pewnie mógłby wybić nim człowiekowi powietrze z płuc.

– Cześć, Tony! – zawołał wspaniałym tenorem. – Pokazujesz swoim przyjaciołom najlepszą budkę z hamburgerami na Marsie?

Potem nachylił się nad oparciem krzesła Konnela i opowiedział parę swoich starych historyjek z życia poszukiwaczy, tak aby upewnić się, że wszyscy są zadowoleni, podczas gdy dziewczyna zaczęła śpiewać razem z triem. Jej głos był zaledwie na tyle silny, by z trudem przebić się przez opowieści Jorgensena. Zauważyłem, że Konnel z wysiłkiem stara się jej słuchać.

W końcu, Jorgensen również to zauważył. Zostawiając Howleta i Meadowsa szeroko roześmianych, w odpowiedzi na jakąś wysoce nieprawdopodobną przygodę, klepnął chłopaka po ramieniu.

– Widzę, że zważyłeś Lilac Malone, chłopcze? Chciałbyś postawić jej kawę?

– K… kawę? – wyjąkał Konnel.

– Robi się ją z wody – przypomniałem mu. – Tutaj to strasznie wykwintne marnotrawstwo. Jak szampan.

– Powiem jej, że ma zaproszenie – powiedział Jorgensen, kiwając w jej stronę palcem.

– Koledzy wylatują rano – próbowałem temu zapobiec. – Nie mają zbyt wiele czasu…

– To tylko dodatkowe powody, żeby poznać Lilac, dopóki jeszcze mogą!

Obserwowaliśmy zakończenie jej piosenki. Lilac miała dobre wyczucie rytmu, a lawendowa sukienka wdzięcznie owijała się wokół jej ciała, przy marsjańskiej grawitacji, ale, oczywiście, nigdy nie zrobiłaby piosenkarskiej kariery na Ziemi. Jej głos był bardziej sympatyczny, niż melodyjny.

Podeszła z kawą, powiedziała do mnie „cześć”, machnęła ręką na pożegnanie plecom Jorgensena i zajęła się zaznajamianiem się z pozostałymi. Pochwyciłem kose spojrzenie Howleta i podejrzewając, że

zazwyczaj zajmował się pilnowaniem powrotów Konnela na statki, odprężyłem się i zaproponowałem Meadowsowi wizytę w pomieszczeniu na tyłach.

Wymamrotał coś o swoich siwych włosach, ale ruszył ze mną, obrzucając rozbawionym spojrzeniem Lilac i Konnela.

Jaskinia hazardu Jorgensena była pomieszczeniem równie mocno odmiennym od baru i sali restauracyjnej, jak one różniły się między sobą. Wystrój były prosty. Ściany pokrywały draperie z syntetycznego welwetu, o barwie głębokiej zieleni, którą tak lubili Marsjanie. Pośrednie oświetlenie dawało ładny połysk na metalowych gadżetach na stołach. Ponieważ wykorzystywano tutaj cięższą kulkę, ruleta wyglądała mniej więcej tak samo jak na Ziemi. To samo dotyczyło również gry w kości.

– Interesujące – wymamrotał Meadows, szperając po kieszeni.

Wskazał kciukiem na stół do *planet*. Był okrągły, z małym prostokątnym występem przeznaczonym na urządzenia sterujące operatora oraz kalkulator. Po dziewięciu różnokolorowych kolistych torach toczyły się małe kulki reprezentujące planety. Ich orbity połączone były spiralami o odpowiednich kolorach, symbolizującymi orbity statków przemieszczających się na zewnątrz lub do wewnątrz, na inne planety.

– Wybierasz sobie dwie planety – wyjaśniłem mu. – Dla lepszych szans, wybierz miejsce startowe i docelowe. Operator przerzuca przełącznik i kulka popychana jest w swoim rowku przez losową liczbę impulsów elektrycznych.

– I kiedy się wygrywa?

– Powiedzmy, że wybrałeś trasę z Wenus na Saturna. Widzisz tę srebrną spiralę prowadzącą od Wenus, dookoła stołu, do orbity Saturna? No cóż, jeśli Wenus zatrzyma się w obrębie tej sześciocalowej strefy, w której spirala się rozpoczyna, i jeżeli Saturn znajdzie się blisko miejsca w którym się kończy, to zgarniasz kupę szmalu.

Meadows dotknął swoich wąsów, przyglądając się stołowi.

– A więc… ach… przypuszczam, że im bardziej się do niego zbliżysz, tym więcej wygrywasz, co?

– Tak mówi teoria. Większość ludzi cieszy się, jeżeli w ogóle cokolwiek odzyska. To jest dosyć uczciwe, ale szanse są przerażająco małe.

Kilku marynarzy zrobiło nam miejsce, i przez kilka minut przyglądałem się grze Meadowsa. Operator, kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się szeroko. Miał szczupłą, bladą twarz, i kiedyś był astrogatorem, zanim jego serce zmusiło go do pozostania w niewielkiej grawitacji Marsa.

– Żadnych podpowiedzi, Tony! – zażartował do mnie.

– Przestań robić ze mnie wspólnika tego przestępstwa! – odpowiedziałem.

– Pewnej nocy już myślałem, że będziesz… Panowie, nie ma wygranych. Kolejne zakłady!

Kule podtoczyły się i zatrzymały, ustawiając Plutona w pobliżu jednego z końców lawendowej spirali, której wewnętrznego końca dotykał Merkury, ale nikt nie był na tyle szalony, aby obstawiać w ten sposób. Meadows zaczął grać kombinacjami wewnętrznych planet, co od czasu do czasu dawało wypłatę, chociaż przy niewielkich szansach. Zarobił trochę na jakichś niewielkich pudłach, a kiedy zdecydowałem się pójść na drinka, to właśnie to stracił.

Znalazłem Howleta, Konnela i Lilac Malone w barze, siedzących i podziwiających czerwono-brązowy krajobraz. Kiedy usłyszeli o Meadowsie, Howlet lekko się uśmiechnął.

– Jeżeli to nie jest ustawione, to lepiej niech przygotują się na stratę grubszej gotówki – roześmiał się głośno. – Ludzie patrzą na tę jego twarzyczkę i nie mogą uwierzyć, że on zawsze zgrania połowę płacy całej załogi.

Lilac dostrzegła szanse na zarobienie swoich pieniędzy i zasugerowała, byśmy wszyscy poszli wesprzeć Meadowsa. Zostałem z drinkiem, dopóki nie przydryfował Jorgensen, aby wypić ze mną kolejkę i pogadać o starych dobrych czasach.

Po chwili pojawił się jeden z jego pomocników i wyszeptał mu coś do wielkiego czerwonego uszyska. Wzruszył tylko ramionami i machnął ręką.

Następnym razem, powtórzyło się to jakieś dwadzieścia minut później, kiedy właśnie raczyłem go historią o skamieniałych pradawnych Marsjanach, których mieszkańcy jednej z kopuł koło Schiaparellego, wykopali z suchego kanału. Jorgensen opuścił swoje wyblakłe brwi i wymaszerował jak niedźwiedź na skorupkach jaj, pozostawiając mnie z nieopowiedzianą pointą. O tym, co oni niby to mieli wykopać razem z Marsjanami.

– *No cóż, ta konstrukcja została zmarnowana* – pomyślałem sobie.

W miarę jak mijał czas, zarówno do, jak i z, pomieszczenia na tyłach, zdawała się przemieszczać całkiem spora liczba piaskowych wyjadaczy. W końcu pokazał się też Howlet.

– I jak ci poszło? – spytałem, kiedy w jego ręku pojawił się drink.

– Zostawiłem swoją zwykłą kwotę – uśmiechnął się. – Ale powinieneś zobaczyć Meadowsa! Czy on kiedykolwiek zamknie ten kurek? Przeprowadził Merkurego do Plutona, i to dało mu wielką wypłatę.

– Powinno dać. Nikt wcześniej jeszcze tego nie zrobił.

– On to zrobił *dwa razy*! Plus inne połączenia. Przecież to on robi nasze codzienne menu, nigdy więc nie mogłem zrozumieć, dlaczego trochę tego szczęścia nie przejdzie na mnie. Wiesz, co on robi?

Uniosłem brew.

– Pożycza pieniądze każdemu obibokowi, który się do niego uśmiechnie. Ale facet musi pokazać niezbywalny imienny bilet na przelot na Ziemię.

– Cholernie niewielu może to zrobić – chrząknąłem.

– Dlatego właśnie daje im forsę na niego i obietnicę, że obstawi za nich, kiedy wrócą z biletem. Nigdy jeszcze nie widziałem tak szczęśliwych twarzy!

W tym miejscu przez zakryte kotarą drzwi między barem i salą na tyłach, przyżeglował Jorgensen. Skalisty, pustynny wygląd pojawił się również na jego czerwonej, księżycowej twarzy. Przedstawił mnie dwóm towarzyszącym mu ludziom, tonem jakby rozpoczęła się ostatnia dziesiątka odliczania.

– Cieszę się, że mogę poznać pana i pana Howleta – powiedział jeden z nich, o nazwisku McNaughton.

W drugim, „Panu V’n Uh” rozpoznałem Van Ettena, jednego z najznamienitszych obywateli kopuły, który agitował z McNaughtonem i innymi ludźmi z Komitetu Działania, za utworzeniem regularnych sił policyjnych. Jorgensen jednak zdawał się mieć teraz co innego na głowie.

– Howlet, może porozmawiałby pan ze swoim kolegą ze statku?

– A czy on zrobił coś niewłaściwego? – uprzejmie spytał Howlet.

Jorgensen spojrzał spode łba na parę wyjadaczy piaskowych w workowatych portkach, którzy wkroczyli właśnie przez drzwi frontowe, ściskając w dłoniach jasnozielone bilety. Na chwilę ich głowy obróciły się w stronę baru, ale z maksymalnym przyśpieszeniem udali się za swoimi szczeciniastymi podbródkami, do sali na tyłach.

– Nie mówię, że on robi coś złego – wywarczał Jorgensen, odprowadzając przechodzącą parę pałającym spojrzeniem. – Powoduje tylko, że to miejsce zaczyna wyglądać źle.

– Och, to dobra reklama, Jorgy – roześmiał się McNaughton. – Ludzie już zapominali, że tę grę można pokonać. Tak więc, panie Howlet…

Jorgensen jednak go przegadał:

– Tu wcale nie chodzi o stracone pieniądze…

Drobna część drinka, z którego przed chwilą pociągnąłem, poleciała na dół jakąś niewłaściwą drogą.

– Naprawdę, nie! – ryknął Jorgensen. – Ale jeżeli rozejdą się wieści, że tu można załapać darmowy przejazd do domu, to będę miał tutaj prawdziwe ruchome piaski!

Howlet wzruszył ramionami i odstawił swoją szklaneczkę. Van Etten dał mi kuksańca w bok i zrobił do mnie minę, tak więc poderwałem się jako pierwszy.

– No dobra – powiedziałem. – To ja go tam zaprowadziłem, sprawdzę więc co się dzieje.

Przez frontowe drzwi weszło kolejnych dwóch ludzi. Ten wielki wyglądał na ochroniarza. Drugi, z oszołomionym spojrzeniem niósł ze sobą małe metalowe pudło, które mogło zostać rozstawione jako przenośne biurko. Podszedł do Jorgensena i zapytał go, gdzie mógłby zorganizować prowizoryczną kasę biletową dla Interplanet.

Kiedy oglądałem się do tyłu, przez ramię, trzech czy czterech piaskowych wyjadaczy wychodzących właśnie z sali na tyłach, odepchnęło mnie na bok, żeby do niego się dostać. Ostatnie co widziałem, zanim wyszedłem, to Van Ettena uspokajającego Jorgensena, i McNaughtona

ciągnącego Howleta za zamek błyskawiczny od kurtki, aby porozmawiać z nim w interesach.

Wewnątrz sali, po przepchnięciu się przez tłum zebrany wokół stołu do *planet*, zobaczyłem, że wielu obstawiających naśladuje ruchy Meadowsa, pogarszając jeszcze sprawę dla Jorgensena. Nawet Konnel miał przed sobą niewielki stosik, chociaż wydawało się że utracił nieco uwagi Lilac, na rzecz Meadowsa. W czasie gdy małe kulki toczyły się po swoich orbitach, steward odliczał pieniądze do wyrywających się dłoni, zapisywał nazwiska na skrawkach papieru i obstawiał. W jakiś sposób trafiał wygraną, co pięć, sześć kolejek, co powodowało stały rozrost jego stosu pieniędzy.

Potrząsnąłem Lilac za łokieć, wskazując na Konnela.

– Dałoby radę wyciągnąć go na drinka, tak żeby stary klient mógł wcisnąć się na kilka kolejek? – spytałem ją.

Wywołana widokiem pieniędzy poświata, stopniowo zniknęła z jej oczu, kiedy skupiła się na mnie. Podjęcie decyzji zajęło jej chwilkę, ale przytuliła się do Konnela i wyszeptała coś do niego. Wyglądała, jakby rzeczywiście mogła rzeczywiście coś do niego czuć. Puściła do mnie oko.

Kiedy zmienialiśmy miejsca, wokoło rozległy się takie sapnięcia, że już myślałem, że szturchnąłem Plutona, ale to tylko Meadows wykonał kolejny skok z Ziemi do Urana, o bardzo niskim prawdopodobieństwie. Operator już nawet nie zawahał się przed wstukaniem odległości i stawianych kwot do małego komputera, i wyszperaniem w szufladzie swojej kasy gotówki na wypłaty.

Stałem tam przez kilka minut, zastanawiając się, czy tej gry nie dałoby się, pomimo wszystko, jakoś ustawić. Ale przecież człowiek, który ją wymyślił, stworzył również maszyny kodujące dla ziemskiej floty kosmicznej. Meadows musiał mieć serię ślepych trafów –– jak na razie nieprzerwaną.

Kiedy wychodziłem na zewnątrz, w drzwiach baru złapał mnie Howlet.

– Może trochę kawy? – spytał. – Musimy wkrótce ruszać z powrotem. Zdziwiłbyś się, która godzina. Sala restauracyjna ciągle jest otwarta?

– Przez cały czas. No dobrze, otrzeźwiejmy trochę i popatrzmy na fontannę.

W restauracji siedziały teraz dwie lub trzy kobiety i kilku mężczyzn. Półetatowi muzycy zniknęli już, aby złapać parę godzin snu, przed swoją zwykłą pracą. Zamówiliśmy pełen czajnik termostatyczny kawy, i Howlet zaczął wypytywać mnie o McNaughtona.

– Wydaje mi się, że jest uczciwy – powiedział, po tym, jak opisałem mu rolę Komitetu McNaughtona. – Opowiadał mi, jak musieli przyskrzynić pewnego znanego mu awanturnika, po tej naszej bójce w barze. Chciał, żebym został szefem tutejszej policji.

– Niektóre kopuły mają już regularne siły policyjne – potwierdziłem.

– Powiedział to samo. Twierdził, że wielu szefów policji zostało wybranych na burmistrzów. Potem powiedział, że pewnego dnia powstanie Zgromadzenie Marsjańskie, i ludzie mający przetarcie w polityce w kopułach, będą gotowi do pracy w nim, i tak dalej.

– Ma zupełną rację – przyznałem. – Kiedy masz zamiar zacząć?

– Może następnym razem, jak będę tędy przelatywał! – Mrugnął do mnie okiem. – Jeżeli ciągle będzie to aktualne.

Odprężyłem się i wyszczerzyłem do niego zęby. Jakoś podobało mi się jego spojrzenie, właśnie wtedy.

– Nie powinieneś znikać na zbyt długo. To dobre miejsce, aby postawić tu drabinę swojej kariery.

Nalał sobie więcej kawy i wpatrzył się w swoją filiżankę. Wiedziałem o czym dumał –– wachtach pod koniec skoku, kiedy zaczynasz zastanawiać się nad śmiercią, ciężkim powietrzem, kiedy ci którzy nie byli na wachcie, wpatrywali się nieustannie w twarz astrogatora, kiedy coraz bardziej masz wrażenie, że nadszedł czas na wyjście z ciemności kosmosu, zanim popełnisz tę jedną pomyłkę.

Ilu wybiera swój punkt lądowania? – Pomyślałem sobie. – *Ilu nawet nigdy się nie dowie, jak blisko byli popełnienia tego jednego błędu, albo stania się statystyką w błędzie kogoś innego*?

– Co wpadliście w podwójny trans? – spytał Meadows.

Razem z nim dotarło mgliste wrażenie rozmów wychodzących i tupot nóg gdzieś w tle. Howlet popchnął w jego stronę krzesło.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jorgensen, krzątając się dookoła. – Postawić komuś drinka?

– Co oni tam mają… kawa? – spytał Meadows, pociągając nosem.

– Jimmy! – wrzasnął Jorgensen na kelnera. – Czajnik z kawą dla Rona! Gorącą!

Klapnął Meadowsa po ramieniu i zabrał swoją rozpromienioną czerwoną twarz, gdzieś dalej.

– W jaki sposób zostaliście kumplami? – spytałem Meadowsa.

– Na koniec chybiłem Merkurego o dziesięć cali i odzyskali większość mojej wygranej!

Nie było na to żadnej odpowiedzi. Musiał być już do przodu dobre pół miliona.

– A co z tymi wyjadaczami piaskowymi, którym obiecywałeś obstawić? – spytał Howlet, uśmiechając się jak człowiek, który przewidywał co się wydarzy, ale mimo wszystko bardzo go to ucieszyło.

– Niektórzy z nich pomogli mi to stracić – odparł Meadows. – Zdaje się, że teraz będą po prostu, zmuszeni do skorzystania ze swoich biletów. Gdzie jest Hughie i jego mała przyjaciółka? Kawa dla wszystkich i ruszamy w drogę, co?

– Myślałem, że on był z tobą – powiedział Howlet.

– Sprawdzę w barze – zgłosiłem się na ochotnika, pamiętając że dzieciak wyszedł z większym zwitkiem kasy, niż Meadows miał obecnie.

Szybkie przeszukanie baru i sali na tyłach, pokazało, że są one niemal puste, co było naturalnym stanem, tuż przed świtem. Najwidoczniej nikt tam nie wiedział Konnela, tak więc wyszedłem na dwór, rozejrzeć się po

ciemnej, wąskiej ulicy. Szło tam, cicho śpiewając w drodze do domu, czterech, czy pięciu pijaków, żaden z nich nie był na tyle wysoki, aby mógł być Konnelem. Drzwi za mną otworzyły się, i wychynęło z nich szybko, dwóch kolejnych ludzi.

– Och, tutaj jesteś! Też cię wszędzie szukam – powiedział Howlet półgłosem. – Czy można zaufać temu Jorgensenowi? Nie chcieli mnie wpuścić do jego biura, za salą na zapleczu.

– Jest lepszy, niż na to wygląda – powiedziałem.

– Tak się zastanawiam – wymruczał Meadows. – Dziwnie wyglądał, kiedy byłem tak bardzo do przodu. Albo może jeden z jego brytanów, wpadł na pomysł, żeby mieć wygodnego zakładnika…

Howlet nagle zaczął wyglądać niebezpiecznie. Zorientowałem się, że musiał wyobrazić sobie coś na temat chłopaka i od razu rozgrzał się do fazy rozbijania drzwi.

– Sprawdźmy jeszcze jedno miejsce – zaproponowałem, – żebyśmy się nie pomylili.

Mój szybki ruch w górę ulicy, postawił ich przed wyborem, albo pójść spokojnie ze mną, albo zostać tu i dalej się zastanawiać. Obaj poszli. Czułem wręcz, jak mnie obserwują.

Skręciłem w prawo, w wąską uliczkę, i przeszedłem nią około pięćdziesięciu jardów. Zatrzymałem się w miejscu, gdzie przecinała ją jeszcze węższa alejka. Mając nadzieję, że pamiętam drogę, ruszyłem po omacku wzdłuż lewego odgałęzienia alejki. Niebo nad kopułą rozmiękczyła już smuga światła, ale nie przesączyła się jeszcze na dół, do poziomu ziemi.

Odgłos cichych kroków Howleta, podążał moim śladem. Uderzyłem ręką w drzwi, które wydawały mi się tymi właściwymi. Nie było żadnej odpowiedzi, czego należało się spodziewać. Uderzyłem ponownie kilkukrotnie.

– Mogłoby się wydawać, że nikogo nie ma na pokładzie – wymamrotał Meadows.

Można było to potraktować jako pytanie. Wzruszyłem w ciemnościach ramionami i zacząłem walić dłużej i głośniej. W końcu, nasłuchując przy lichej płycie drzwi, usłyszałem stłumione kroki.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Lilac, to ja, Tony Lewis.

Ciemny otwór poszerzał się, do chwili gdy musiała zobaczyć stojącą za mną dwójkę. Miała na sobie cienki szlafrok, błyszczący srebrno w przyćmionym świetle.

– Przyślij chłopaka tu na zewnątrz, Lilac – poprosiłem.

– Czemu miałabym to robić?

Przynajmniej na tyle była w porządku. Mogła udawać, że go tu w ogóle nie ma.

– Musi zdążyć na swój statek, Lilac.

Usłyszałem, jak Howlet porusza się za mną z niepokojem. Drzwi zaczęły się zamykać, ale na ich drodze znalazła się moja noga. Howlet nie widział tego.

– Nie zamykaj ich, siostro – ostrzegł, – bo je rozwalimy!

I mógłby to zrobić, w jakieś dziesięć sekund, w taki sposób wtedy budowano na Marsie,

– Chciałbyś, żeby cię tu powiesili? – ostrzegła go Lilac.

– Za co –– z *twojego* powodu?

– Zamknij się, Howlet! – przerwałem mu. – Pozwól, że sam z panią porozmawiam.

Musiał zrozumieć mój ton. Pozwolił, żeby Meadows odciągnął go kilka kroków.

– I sprawy tej „pani”, *ciebie* nie powinny obchodzić – powiedziała Lilac, ale na tyle cicho, aby tego nie usłyszał. – Oboje znamy Marsa, a więc zostawmy rzeczy, takimi jak są.

– Lilac, właśnie dlatego przyszedłem. Zostawienie spraw w taki sposób oznacza, że on musi polecieć.

– Co ty nie powiesz? Czy on ma robotę, którą musi zrobić, albo jakiś kanał z pyłem innego rodzaju?

– Niezupełnie. Mogą sobie znaleźć innego trzeciego pilota. Jakoś by również dali sobie radę nie mając nikogo na jego miejsce. Ale on sam, później, nie będzie mógł sobie darować zmarnowania tej szansy.

Kołysała brzegiem drzwi do przodu i do tyłu, niecierpliwymi lekkimi szarpnięciami. W końcu zdjęła dłoń z klamki, i pozwoliła im otworzyć się do końca. Ciągle jednak blokowała wejście, a ja czekałem.

– Posłuchaj, Tony – powiedziała po dłuższej przerwie. – Dlaczego myślisz, że nie mogłabym osiedlić się gdzieś razem z nim? Nigdy nie myślałam, żeby pozostać… artystką… przez całe moje życie. Z gotówką, którą już zebrałam, moglibyśmy coś zacząć. Być może kopalnia, albo usługi traktorowe, podobne do twoich. Mars się rozrasta…

– Wystaw głowę pod kopułę, i wciągnij głęboko powietrze! – rzuciłem ostro. – Nie obchodzą mnie twoje sny na jawie, Lilac, ale teraz nie ma już na to czasu.

Było to na tyle lekkie, że tylko zobaczyłem, jak zesztywniała. Spojrzała na mnie gniewnie.

– Próbujesz mi powiedzieć, że nie mogłabym tutaj założyć domu? Przecież dobrze to wiesz, Tony. Niektóre z najbardziej znanych kobiet na Marsie, niekoniecznie przyleciały tutaj pierwszą klasą!

Uniosłem rękę do góry. Zaczynała robić się głośna.

– To nie miałoby znaczenia, nawet gdybyś była księżniczką. On by nie myślał w ten sposób o tobie, pilotując piaskową terenówkę, zamiast rakietę.

Jeden ze stojących w alei marynarzy niecierpliwie zaszurał nogą. Pośpiesznie kontynuowałem, mając nadzieję zakończyć to, zanim pójdzie w zaparte.

– Lilac, ty przynajmniej, powinnaś lepiej rozumieć mężczyzn, niż większość kobiet. Być może to nie ma sensu, ale mądrzej by było, złapać

go po tym, kiedy już zdobędzie już swój udział w kosmosie, zamiast przedtem.

Trudno było odetchnąć, nie robiąc hałasu, w tej bezbrzeżnej ciszy. Właśnie już miałem zamiar przełknąć ślinę, albo odchrząknąć, kiedy ramiona Lilac nagle opadły o cal lub dwa.

– Obudzę go – powiedziała zmęczonym głosem.

Czując się, jakbym ją uderzył, cofnąłem się o krok na alejkę. Kilka minut później, Konnel wyślizgnął się na dwór i zamknął za sobą drzwi. Nikt nie powiedział nawet słowa. Z ustawienia jego ramion, wydawało się, że mógł być niemal zadowolony z panującej w alejce ciemności, ale tylko szedł za nami, lekko z tyłu.

Doszliśmy z powrotem do Śluzy Powietrznej Numer Cztery w ciszy, która prowokowała mnie do liczenia kroków. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu miejsca zaparkowania traktora, odchrząknąłem.

– Poczekajcie minutę. Rozgrzeję tylko mój piaskowy spodek i podrzucę was do waszego statku.

– Być może nie będziemy musieli już ci się narzucać, Tony – odparł Howlet. – Wygląda na to, że te maszyny tam jadą.

Powiodłem wzrokiem za jego gestem, i pochwyciłem obraz kierowcy, którego znałem. Machnąłem do niego ręką i wskazałem kciukiem na stojących obok mnie marynarzy.

– Chodźmy – powiedział Konnel, kiedy traktor zwolnił. – Dzięki za wszystko, Tony. Lepiej sam podłap trochę snu. Nocne straże w tych kopułach są ostre.

Konnel poczekał, aż znajdą się kilka kroków dalej. Nawet wtedy, zawahał się.

– Daj spokój! – Powiedziałem. – Nie jesteś pierwszym marynarzem który musiał wydostać się z jakiś dziwnego zaułka. Daj mi znać, kiedy wrócisz!

Uścisnął mi rękę i potruchtał za swoimi przyjaciółmi. Weszli po drabince do kabiny. Traktor nabrał szybkości, zmierzając w kierunku śluzy.

Później, już nieco po południu, wyczołgałem się z łóżka i przyglądałem się pochodni odrzutu ich rakiet, kiedy statek wspinał się ognistą smugą w ciemne marsjańskie niebo. Miałem nadzieję, że im się uda –– niemal tak bardzo jak żałowałem, że to nie byłem ja.

No cóż, ja ciągle podchodzę do ściany, niezależnie od tego w której bym się nie znalazł kopule, i obserwuję przez chwilę niebo –– nie żebym miał nadzieję zobaczyć *tych chłopaków*, lądujących po tak długim czasie! Musieli rozwalić się na kawałki, gdzieś na Jowiszu, ześlizgnąć się z powrotem na Słońce, albo polecieć zimną i ciemną orbitą w kosmos, gdzieś, gdzie nikomu już nie staną na drodze. Przypuszczam, że nikt nigdy nie dowie się tego na pewno.

Gdybym musiał to ponownie zrobić?

Nie, oczywiście, nie czuję się z tym dobrze. Ale gdyby to nie byli oni, to byłaby jakaś inna załoga. Zwykłym prawem średniej, każdemu nowemu przełomowi w kosmosie, musi towarzyszyć pewna liczba prób nieudanych. Być może nie ma żadnych powodów, żeby tak się działo, ale zawsze tak jest. Kiedy zużyje się zapas pecha, ktoś ustanawia nową granicę.

Dlaczego mówicie „przesąd"? Każda nowa orbita, coraz dalej od Słońca, wiele kosztuje, w pieniądzach, statkach, ludzkich życiach. Taka jest cena nowego kroku.

No pewnie, że to się fatalnie złożyło dla Konnela i jego małej dziewczynki –– która, nawiasem mówiąc, wyszła później za ważnego człowieka w kopule Asaph. Fajnie byłoby zobaczyć, jak Meadows zbija majątek, albo Howlet zostaje burmistrzem kopuły, ale co ja mogę na to poradzić? Z którym powinienem rozmawiać, przekonując go by został dla miłości, pieniędzy lub władzy, jeżeli ja nie jestem w stanie wyruszyć w jego miejsce?

Za każdym razem kiedy Ludzkość popychana jest o drobny kroczek, pewien procent popychających ją, musi za to zapłacić. Nadal jednak lepiej będzie, jeżeli sami wypchniemy ją z naszego układu planetarnego, zanim ktoś inny wepchnie się do środka.

Ponieważ, o ile nam wiadomo, oni mogą być już w drodze.

KONIEC